



FUNDACJA

Moje Wojenne Dzieciństwo



Zdzisław Rzepka

Wiesia

Przed wojną mieszkaliśmy w Warszawie przy ulicy Przejazd 13. Była to dzielnica uboga – pamiętam, że nie wszyscy mieli już wtedy światło w mieszkaniach. Nie było łazienek, tylko woda i zlew na korytarzu. Jako dziecko chodziłam do szkoły przy ulicy Elektoralnej 7. Było to dla mnie dość daleko. Mieszkaliśmy na ostatnim piętrze, gdzie okna były tylko w dachu. Sąsiadami naszymi były dwie żydowskie rodziny. Z jedną z Żydówek chodziłam do klasy i bawiłam się na podwórku, które wyglądało jak głęboka studnia, gdyż widać tam było tylko niebo i bramę wjazdową. Na podwórku był też skład węgla, gdzie można było kupić właściwie wszystko.

Tak było dopóki nie wybuchła II wojna światowa. Miałam wtedy 12 lat. Byłam dzieckiem anemicznym, słabego zdrowia, a mama pracowała na zmiany w fabryce żarówek Philipsa na Karolkowej, więc jak tylko były wakacje wywoziła mnie do swojej siostry, a mojej chrzestnej do Koła, gdzie czułam się bardzo dobrze. W niedzielę mama miała po mnie przyjechać, ale nie mogła, bo Niemcy bombardowali pociągi. W tej sytuacji dla bezpieczeństwa zostałam u mojej kochanej cici.

W połowie października zachorowałam. Po wizycie lekarza okazało się, że to tyfus brzuszny. 6 listopada zabrała mnie karetka do szpitala zakaźnego. Byłam tam aż do 13 stycznia 1940 roku. Na wypisie ze szpitala zaznaczono, że mam zgłosić się do Arbeitsamtu, skąd 1 kwietnia otrzymałam skierowanie do pracy przymusowej, jako opiekunka dzieci w rodzinie niemieckiej w Kole, które teraz nazywało się po niemiecku Wartbrüchen. Opiekowałam się trójką dzieci. Prałam, prasowałam, kąpałam, chodziłam z nimi na spacer, a kiedy spały przyrządzałam dla nich posiłek. Była to dla mnie ciężka praca, bo sama jeszcze byłam dzieckiem i to po ciężkiej chorobie. Pisałam błagalne listy do mamy, abym mogła wrócić do Warszawy. Niemcy nie pozwalali jednak wydać odpowiedniej przepustki. W końcu po wielkich staraniach w 1943 roku udało się i nareszcie mogłam wyjechać. Mama mieszkała już wtedy na IV piętrze kamienicy przy ulicy Poznańskiej 17, róg Hożej. W tym domu była apteka „Pod Aniołem”. Tam gdzie mieszkaliśmy przed wojną było getto. Obecnie nie ma śladu po tym domu, został częściowo zniszczony w czasie powstania, a całkowicie, kiedy Rosjanie weszli do Warszawy.

Kiedy w lipcu 1943 roku wróciłam do Warszawy było już po powstaniu w getcie. Nie wiem jaki los spotkał moje przyjaciółki z Przejazdu 13. Ja znalazłam pracę w sklepie u pana Wojciechowskiego przy ulicy Elektoralnej 7, tam gdzie przed wojną była szkoła. Obok był mały sklepik z przyborami wędkarskimi, gdzie pracowała pani Beksiak z Koła, żona burmistrza, a matka późniejszego profesora Uniwersytetu Warszawskiego Janusza Beksiaka.

Kiedy zaczęłam pracować moja mama bardzo zachorowała na gruźlicę i niewydolność nerek. O szkole i tajnych kompletach nie mogłam nawet śnić. To co zarobiłam trzeba było zapłacić za pokój i skromne jedzenie.

Jednej niedzieli uśmiechnęło się do nas szczęście. Przyjechała do nas kuzynka, która mieszkała przy ulicy Chłodnej i przywiozła do nas chłopaka. Miał może 9, może 10 lat. Na imię miał Józio. Prosił nas, żebyśmy go przyjęły, a jego rodzina nam to wynagrodzi. Spał ze mną, bo pokoik był mały. Józiowi było z nami bardzo dobrze, jednak sąsiadka – wścibska pani Zosia Ciesielska – powiedziała do mamy: „Oj, żeby pani nie miała kłopotów, bo to jest „aj waj””. Pojechałam więc do tej kuzynki i powiedziałam co i jak. Potem przyjechał ktoś i zabrał Józia. Więcej o nim nie słyszałyśmy.

Jednego dnia podpalałam w pracy w piecu wiórami z worka, a stało ich kilka na zapleczu i znalazłam plik gazetek „Podziemna Polska”. Pokazałam je szefowi. Okropnie się wystraszył, ale mnie to było na rękę, bo poprosiłam go, żebym też mogła brać udział w tych jego sprawach. Któregoś wiosennego dnia zaprowadził mnie na Starówkę. Wysoko na strychu mieszkała pani, która miała 3 synów w lesie. U niej to ja i jeszcze kilka osób składaliśmy przysięgę na wierność ojczyźnie. Mamie o tym nie mówiłam, bo nie dość, że chora, to jeszcze by się martwiła o mnie. Ja byłam już w Szarych Szeregach i woziłam bibuły wszędzie, gdzie mój szef mi kazał – na Wiatraczną, Ząbkowską i Wolę – bo tu miałam najbliższą.

Kiedy miało wybuchnąć powstanie mama rano powiedziała do mnie: „Nie idź dziecko dzisiaj do pracy, bo miałam straszny sen, że zginęłaś, a ja ciebie szukałam”. Ja jednak poszłam. Biegłam Poznańską do tramwaju 18, ale już był na nim napis, że jest uszkodzony i zjeżdża do zajezdni. Koło Hotelu „Polonia” znalazłam medalik z postacią św. Antoniego. Podniosłam i pomyślałam, że to może będzie mój obrońca. Rzeczywiście – przez kilka dni tak było, ale już 6 sierpnia około południa pod naszą bramę na Elektoralfnej 13, gdzie mieszkał szef i był punkt zborny, podjechał czołg. Jeszcze wcześniej, z rana był ksiądz kapelan, wyspowiadał nas i przygotował na najgorsze. Szef w tym dniu już nas nie wypuścił. Mężczyźni z bronią poszli na Starówkę, a my zostaliśmy – taki był rozkaz. Niemcy byli przed bramą, a my w sekrecie chowaliśmy opaski i legitymacje gdzie się da. Ja schowałam w piwnicy w murze pod cegłą (mój pseudonim „Wiesia”). Jeszcze wcześniej jeden z kolegów zrobił nam zdjęcie w podwórzu (widziałam je w gazecie na 50-lecie Powstania Warszawskiego) i poszli przekopami.

Niemcy wpadli z krzykiem, zaczęli rzucać granaty, później pognali nas Chłodną, Wolską do kościoła św. Wojciecha, gdzie mieli nas wysadzić w powietrze. Strach był okropny, ale po pewnym czasie przyjechali SS-mani na motorach i kazali nam iść pieszo czwórkami do Włoch, a następnie do Pruszkowa. Kiedy byłyśmy blisko Pruszkowa jedna z dziewczyn powiedziała, że ma tu gdzieś niedaleko wujka, więc uciekłyśmy. Udało się. Trafiłam do gospodarza. Chodziłam za niego kopać rowy przeciwczołgowe, aż do końca października. Z mamą odnalazłyśmy się dopiero w połowie listopada, ale to jeszcze długa opowieść.